Rozmaitości

Dnia 23. Marca Nr 12. 1839 Roku.

PIĘKNA KREOLKA.

Przez Emil. Souvestre.

Po obiedzie rozeszli się goście po zwierzyńcu. Ja, zatrzymawszy się przy altanie, zkąd jednym rzutem oka ogrody zamku Saint-Cloud i wężem snujące się nurty Sekwany przejrzeć można, spostrzegłem doktora Miller, który z pobocznéj alei do mnie się zbliżał. Był on pastorem metodystów, przybył przed kilką miesiącami z Ameryki, i właśnie dzisiejszego poranku w dóm p. Henri Varin, gdzieśmy się bawili, wprowadzonym został. Przed godziną wprzódy miałem z nim długą rozmowę, która mi dała sposobność poznania w nim człowieka bardzo rzadkich przymiotów. Najbardziéj podziwiałem w nim owe niezwykłe połączenie godności z otwartością, nieugiętość charakteru z łagodnością, które się w każdym jego pomyśle i zdaniu okazywały. Byłoto po raz pierwszy w życiu mojém, że się mi zdarzyło mówić z jednym z tych missyjonarzy, którzy w swoich naukach ludziom wielkiego świata śmiało prawdę mówią, grzéch bez uniesienia potępiają i w tonie poufałéj rozmowy religiję i cnotę wielbią. Słowem, doktor Miller był dla mnie najdoskonalszym wzorem kwakra; albowiem z tymi ludźmi w okrągłych kapeluszach, o których tak wiele pięknych rzeczy się naczytałem, nigdy w rzeczywistém życiu mówić się mi nie zdarzyło. Przyjąłem go zatém z uprzejmością i wesołym uśmiéchem przy altanie, gdziem się niejaki czas zatrzymał. Wskazałem mu palcem na rozkoszny widok okolicy u stóp naszych rozpostartéj, który go na chwilę w spokojne zamyślenie wprawił. Za jednym razem obił się o nasze uszy głośny i wesoły śmiéch wielu osób. Przechyliwszy się przez poręcz, ujrzałem w dolinie na łące owe młode damy, w którycheśmy towarzystwie tak mile dzisiejszy poranek spędzili. Amerykanin spojrzawszy, nagle się zasępił. »Jak się nazywa ta biało ubrana dama, którą pan Varin pod ramię prowadzi?« zapytał mnie.

»Pani de Larcy.«

»Czy dawno już bawi we Francyi?«

»Przyznam się, że mi nawet nie wiadomo, ażali kiedy z Francyi się oddalała.«

»Znasz ją wćpan?«

»O ile na wielkim świecie ludzi znać można; widuję ją zawsze u pana Varin.«

»Czy tak?« odrzekł doktor, spojrzawszy na mnie z oznaczeniem. »Omal, żem nie pomyślał, iż ona tu panią domu.« Nie mógłem ukryć uśmiéchu; on zaś wpadł w zadumanie. »Nie mogę pojąć jak mógł p. Varin swoję młodą małżonkę tak prędko opuścić?« rzekł daléj; »pewnie się nie spodziéwa, że ona, wszystkiego się domyślając, z zazdrości umiéra!« Przybrawszy smutną minę wzruszyłem ramionami. »I cóż nadało pani de Larcy tyle mocy nad przyjacielem wćpana?«

»Czy wćpan nie uważałeś piękności téj młodéj kobiéty? Wszakże gdy go przedstawiano, sam się zdawałeś jéj urodą być zdziwionym i zajętym; albowiem widać to było, jak się zmieszałeś.« Doktor nic na to nie odpowiedział, jednak się zamyślił.

»Nikt że nie usiłował p. Varin na drogę powinności sprowadzić?« odezwał się znowu.

»Byłoby to bezowocném usiłowaniem.«

»Nie ma że już w saméj istocie żadnego sposobu, aby go od téj kobiéty oderwać?«

»O jakimżeto sposobie mówisz wćpan?«

Miller umilkł znowu i dosyć długa nastąpiła przerwa. Począłem się obawiać, ażali doktor nie układa upominającego kazania, na które Varin wcale przygotowanym nie był, a któreby nas na nieprzyjemność narazić mogło. Podobnych sędziów sumienia widziałem zawsze tak niezręcznie do rzeczy się biorących i tak niedyskretnych, że nawet i temu nie dowierzałem. Wspomniałem przeto niby nawiasem o bezskuteczności wszelkich zabiegów nawrócenia naszego przyjaciela. Bez wątpienia odgadnął Miller mój zamiar, albowiem rzekł: »Nie miéj wćpan z téj strony żadnéj obawy, za nadto ja cenię naukę moralną, abym ją na niebezpieczeństwo złego przyjęcia wystawiał.«

Już się wieczór zbliżał, kilku gości przyłączyło się do nas; powróciwszy do salonu, jużeśmy tam damy zastali, a konwersacyja stała się powszechną. Doktor Miller usiadłszy na ustroniu przy oknie, ani na chwilę panią de Larcy z oka nie spuścił. Trudno byłoby odgadnąć, jakim podczas tych postrzeżeń uczuciom się oddawał. Czasem się twarz jego wypogodziła jak gdyby wszelka obawa zniknęła, ale znowu jakaś niepewność czoło jego zachmurzyła; czasem nachylił głowę i zdawało się, iż nie patrząc na panią de Larcy każdy dźwięk jéj wyrazu rozbiérał; to znowu wpatrywał się w najmniejsze jéj ust poruszenie, prawie jakby czatował na powstanie i wydobycie się każdego słowa. Z początku nie baczną była pani de Larcy na tę nadzwyczajną jego uwagę, lecz spostrzegła ją nakoniec i zdawała się być zmieszaną. Odwróciła się więc, aby jéj uniknąć, i nagle rozmowę przerwała.

W każdém towarzyskiém kole jest zawsze ktoś, który, jak to mówią, jest duszą zabawy, i który uwagę na siebie zwraca, a wsparty szczęśliwém usposobieniem, powabem postaci lub dowcipu, zabawę w toku utrzymuje; gdy taka osoba zamilknie, następuje przerwa, równie jak w zegarku, w którym sprężyna pęknie. To samo sprawiła pani de Larcy skoro mówić przestała; konwersacyja ostygła, a nakoniec ustała. Varin, którego ten chwilowy humor niepokoił, starał się na daremnie panią de Larcy rozweselić. Po rozmaitych bezskutecznych usiłowaniach kazał stoliki do wista ustawić; lecz się powszechnie temu sprzeciwiono.« Któż widział na wsi grać w karty! Wolimy raczéj nudom się oddać!« Nareszcie zgodzono się na to, aby czytaniem czas przepędzić, lecz wybór książki był trudny. »Albożto nié mamy między nami Edwarda?« zawołał Varin, którego powtórny projekt odrzucono; »niech nam swoje podróże i przygody, których w Afryce doznał, opowiada.«

»Co się podróży i przygód tyczé,« przerwałem, »radzę, aby się w tym względzie do doktora Miller udano.«

»Tak, tak, panie doktorze!« rzekł Varin, »wćpan nam opowiadać musisz.« Miller skłoniwszy się, chciał się od tego wymówić.

»Nie przyjmujemy żadnych wymówek,« rzekłem, nie dając mu przyjść do słowa. »Wćpan mnie dziś rano tak przyjemnie ubawiłeś, że go w wieczór od tego uwolnić nie mogę. A zatém prosimy jeszcze o jednę z tych pięknych powiastek, które wćpanu wiadome!« Doktor uśmiéchnął się.

»Przyznam się,« odrzekł, »że nadaremnie szukam w mojéj pamięci, czémbym się mógł przysłużyć.« Ale zaledwie, że to wyrzekł, jak gdyby nową myślą uderzony, odwołał swoję wymówkę; »mylę się, i owszém, właśnie oto przypominam sobie zdarzenie, które chętnie opowiém; byłem sam naocznym świadkiem, a zatém za szczegóły zaręczyć mogę.« Na to oświadczenie obecni ciekawością zdjęci, poprzysuwali swoje krzesła, a doktor opowiadać zaczął:

»Będzie temu może lat sześć, jak mnie ważne interesa do Nowego-Orleanu powołały. Wyjechawszy po raz piérwszy z Ameryki północnéj, byłem mocno zdziwiony widokiem tego przez Francuzów zamieszkałego miasta. Widziałem tam po wszystkich ulicach wolno przechadzające się kobiéty, zasłonięte hiszpańskiemi welonami, niektóre z odkrytą głową i z pięknemi długiemi warkoczami; gdzie niegdzie znowu na podsieniach domów szczebiotały dziéwczęta, rzucając na przechodzących z ognistych ócz swoich pociski. Niezliczona ludność Negrów, mówiąca pokaleczoną francuzczyzną, wałęsała się w zupełném znaczeniu tego wyrazu, po wszystkich ulicach; cudzoziemcy w najrozmaitszych strojach przepełniali publiczne miejsca; wszędzie panowały: zgiełk, wrzawa,

zamieszanie, rozpasana wolność w obyczajach i obchodzeniu się, jakiéj jeszcze nigdzie nie widziałem. Zdziwiony i prawie odurzony widokiem téj nowości, postanowiłem wynikłe ztąd wrażenia rozmyślaniem i samotnością pokonać. Miałem zalecające listy do najznakomitszych mieszkańców miasta, lecz żadnego nie oddałem, zatrudniając się jedynie przedmiotami, które mnie tam sprowadziły. Mieszkałem nad rzéką Marais, blizko ulicy do jeziora Pontchartrain wiodącéj. W pobliżkości stał piękny dóm, przez niejaką panią Lalorie zamieszkały; byłato wdowa z Francyi, posiadająca znaczny majątek po trzech swoich mężach, z których każdy po krótkiém z nią pożyciu umarł. Dla jéj grzeczności, sposobu znalezienia się, dla jéj wytwornego smaku i dowcipu ubiegano się wszędzie mieć ją w towarzystwie; nie było żadnego świetnego zgromadzenia, żadnéj uroczystości, jeżeli ona tam obecną nie była! Zastałem ją raz w pewnym francuzkim domu, w którym codziennie bywałem, a widok jéj wzbudził we mnie jakieś niepojęte, jakieś boleśne uczucia. Ta kobiéta była w istocie bardzo piękną, jednak jéj piękność była niepokojąca i miała coś w sobie zatrważającego. W jéj kształtnéj, rozkosznéj postaci, zdawał się jakiś przerażający hart ducha zamieszkiwać; jéj jasnoniebieskie oko patrzyło ostro, na wskróś przeszywając i nie dozwalało spojrzeń wymiany; uśmiéch jéj ust koralowych, miasto powabu i pociągu, sprawiał raczéj pewny rodzaj odrazy, tak dalece, że wszyscy w jéj obecności jakiemuś złowrogiemu przeczuciu ulegali. Jéj córki, byłyto smutne, blade istoty, które nieodgadniona słabość niszczyła, nieśmiały one na swoję matkę nawet oczów podnieść. Jeżeli ku nim ramię wyciągnęła i pogłaskać je chciała, natenczas z trwogą i drzeniem głowy swe nachylały. Nie raz widziałem jak je inne dzieci do gry lub tańcu zachęcały, lecz nadaremnie; córki pani Lalorie nie znały zabaw dziecinnych: stały zwykle jedna przy drugiéj w kącie, i spoglądając niespokojnie i trwożliwie w około siebie, ani słowa nie przemówiły. Tożsamo milczenie, taż sama trwoga przejmowała wszystkich, którzy z panią Lalorie w bliższéj żyli styczności; a przecież przyczyny tego nikt odgadnąć nie zdołał. Przy każdéj sposobności okazywała ku dzieciom swoim największą pieszczotę i troskliwość; do niewolników swoich przemawiała łagodnie i obchodziła się z nimi najłaskawiéj. Nie słyszano z ust jéj żadnéj nagany, na wszystko się uśmiéchała, a miasto rozkazów używała raczéj słów pochlebnych, a nawet i próśb. Jednego razu gdyśmy byli przy stole, widziałem, jak kieliszek wina, który zaledwo do ust swych zbliżyła, stojącemu za nią niewolnikowi podała z niewypowiedzianą dobrocią. A przecież jéj niewolnicy, których nie mało było, różnili się od innych nadzwyczajną chudością ciała i smutkiem w twarzy. Patrząc na te biédne, cierpiące istoty, kiedy w około swojéj kwitnącéj, nadobnéj pani stały, łatwo się ten pomysł nasuwał, że zgraja potępieńców, anioła otacza. Jeden tylko, a tym był jéj woźnica, wyszczególniał się czérstwém zdrowiem i otyłością; nadaremnie dochodzono przyczyny téj różnicy; jego otyłość taką była zagadką, jak i tamtych postać wynędzniała. Wszystkie te okoliczności zaostrzyły ciekawość moję, zwłaszcza, że widok pani Lalorie nie miłe sprawił we mnie wrażenie, i że już przeczuciem zacząłem się domyślać, iż jéj życie jakąś tajemnicę ukrywa.

Dóm pomieszkania mego otaczała galeryja, na któréj zwykle wieczory przepędzałem, i zkąd dóm pięknéj wdowy z całym jego obwodem przejrzéć mogłem. Często wzrok mój w tę stronę zwracałem, aby cokolwiek wyśledzić, coby mi do odkrycia tajemnicy, która tę panią otaczała, posłużyć mogło. Lecz usiłowania moje nie otrzymały pożądanego skutku, zawsze tam było cicho, zawsze spokojnie. Raz tylko spostrzegłem panią Lalorie, idącą do pawilonu w ogrodzie, i tak się mi zdawało, jakbym za jéj tam wejściem przytłumiony wykrzyk trwogi usłyszał; lecz za chwilę okazała się znowu owa postać powabna, pełna wdzięków i spokojności, szła z miłym uśmiéchem na twarzy wzdłuż ogrodu, i prostowała kwiatki tu i ówdzie od dészczu pochylone, potém zwolna postępując wracała do domu zamyślona, trzymając w swojéj pięknéj rączce różę, *magnolia* zwaną, z któréj listek po listku obrywała.

Po niejakim czasie zapoznałem się z czarną niewolnicą pani Lalorie, imieniem Rahel,

której mały synek często mnie odwidzał. Byłoto dziécię nadzwyczajnéj piękności i rzadkiego rozumu; usiłowałem zaszczepić w niém zasady prawdy naszéj religii. Mingo polubił mnie, i ja mu z serca sprzyjałem. Widząc go kilka razy zasmuconego, chciałem się go o panią Lalorie wypytywać, lecz milczał uporczywie. Podobnież i Rahel, którą ostrożnie badałem, nie mogła lub téż nie chciała mi także żadnego dać objaśnienia. Zacząłem więc być téj myśli, że mnie moje urojenie złudziło, i zaprzestałem pomieszkanie pani Lalorie mieć na oku.

Pewnego wieczora dłużéj niż zwykle zabawiłem się na galeryi. Było nader gorąco, chłodny wiatr od rzéki wiejący, pokrzepiał mile upałem uznojone członki, gwiazdy iskrzyły się na niebie, a podczas téj nocnéj ciszy, mógłem jak najwyraźniéj najmniejszy szelest usłyszéć. Oparty na balustradzie belwederu, zatopiłem się w moich marzeniach, gdy oto jednym razem przerażający krzyk obił się o moje uszy i przebudził mię okropnie. Z natężoną uwagą zwróciłem oczy ku téj stronie i usłyszałem jeszcze dwa mocne wykrzyknienia, jedno po drugiém. W téjże samej chwili ujrzałem w ogrodzie, pomieszkanie pani Lalorie otaczającym, dwie postacie, jakby dwa widma z wielkim pospiechem bieżące. Jedna wysmukła, biała, trzymała w ręku broń, któréj rozpoznać nie mógłem i zdawała się gonić za drugą uciekającą. Widziałem jak oba te cienie do domu jasno-oświetlonego pędziły; widziałem także jak z wielkim pośpiechem na wschody do góry z piętra na piętro biegły; a potém naraz okazał się czarny cień na tarasie domu, za którym drugi jeszcze gonić nie przestawał. Widziałem jak się uciekający, przez balustradę nagle przechylił, i w tém usłyszałem wykrzyk przerażający, a z nim razem jakieś uderzenie o ziemię, jakby od ciężkiego ciała pochodzące; poczém wszystko ucichło. Biały cień, oparty o galeryję, patrzył w dół spokojnie przez niejaką chwilę, a potém odszedł z tarasu. Wkrótce dał się widziéć nadzwyczajny ruch w domu, światło migało się we wszystkich oknach; nakoniec wyszło cztérech niewolników z latarniami, podźwignęli coś niekształtnego z pod tarasu, zanieśli do ogrodu, tam dół wykopawszy wrzucili, zasypali i znowu weszli do domu, w którym odtąd już nieprzerwana cisza panowała. — Przypatrywałem się téj scenie ze zgrozą i przerażeniem; przepędziłem noc jak w gorączce! Gdym rano wyszedł, ujrzałem Rahel przy drzwiach sąsiedniego domu z założonemi na krzyż rękami i zwieszoną głową siedzącą. Trzykrotnie do niéj przemówiłem nim mnie usłyszała; nareszcie podźwignęła głowę, ale wzrok jéj był okropny.

»Czyś chora Rahel?« zapytałem ją. Niewolnica spuściła głowę. »Cóż się stało?« Obejrzawszy się do koła, nic nie odpowiedziała. »Gdzież Mingo?« zapytałem ją znowu. Na wspomnienie tego imienia wrzasnęła boleśnie i zerwawszy się uderzyła z okropną rozpaczą nogą o ziemię, mówiąc: »Tu! tu! moje ukochane dziécię; oczy jego ziemią przysypane!« Potém zakrywszy sobie twarz obiema rękami, chwiejącym krokiem do domu odeszła. — Teraz wszystko się mi wyjaśniło. Zaraz udałem się do jednego amerykańskiego osadnika, mojego krewnego, i wszystko mu opowiedziałem. Zaprowadził mnie do sądu, gdzie zeznanie moje w prawnéj formie złożyłem. Tegoż samego dnia rozpoczęto śledztwo; co z niego wynikło, nie jest mi wiadomo; udało się albowiem stronnictwu francuzkiemu cały ten wypadek zataić; to tylko doszło do wiadomości publicznéj, że dziewięciu niewolników pani Lalorie wystąpiło przeciw niéj, jako świadkowie b e z p r a w n e g o o k r u c i e ń s t w a, i że tychże niewolników za karę niedowiedzionego oskarzenia właścicielce skonfiskowano, i na publiczny skarb sprzedano. Co do mnie, ani mnie na świadectwo nie wezwano, ani nazwiska mego w tym procesie nie wymieniono. Pani Lalorie, chociaż z nią nieraz przedtém w towarzystwach się znajdowałem, nie znała mnie wcale, i nic się nie dowiedziała o udziale, który poźniéj miałem w jéj sprawie. Wszelkiego zejścia się z nią unikałem umyślnie; albowiem widok téj kobiéty był dla mnie przerażającym; zawsze mi się zdawało, że ją widzę, jak za biédnym Mingo goni, i z zimną krwią na zdruzgotane ciało jego z balustrady pogląda.

Tymczasem upłynęło sześć miesięcy, a wieści, ktore z początku o srogości téj młodéj wdowéj ku niewolnikom swoim krążyły,

ucichły; częściéj nawet niż przedtém, piérwszéj znakomitości osoby Nowego-Orleanu odwidzały jéj salony; uważano je za wzorowe pod względem wytwornego smaku i gościnności; liczny orszak wielbicieli otaczał ją, jak dawniéj; a gdy się kto poważył wspomnieć o przeszłości, natychmiast w jéj obronę wychwalano jéj łagodność, ujmującą dobroć jéj serca; wielkie tajemne obwinienia przeciw niéj podniesione, nazywano potwarzą.

Taki był skład rzeczy, gdy oto dnia jednego na gwałt uderzono; w domu pani Lalorie wybuchnął pożar! Wszyscy cisnęli się z pośpiechem do jéj pomieszkania, i mnie tamże tłum z sobą pociągnął. Pożar się wszczął w oficynach, a w chwili gdyśmy do ogrodu weszli, już się na wszystkie strony płomień rozszérzył. Nie było jeszcze na miejscu narzędzi do gaszenia, i czekano na nie. Wszystkich oczy były zwrócone na dóm płonący, gdy razem dał się słyszéć nagły wrzask ze środka płomieni; otwiéra się okno, a w niém staje jakaś kobiéta. Byłato Rahel, która jakby w szaleństwie najokropniejsze miotając przeklęstwa i rękami wstrząsając, najsroższe odgrażania oznaczała. Na ten widok przestrach ogarnął wszystkich; lud zaczął się cisnąć do oficyn, lecz płomień otoczył już cały budynek. Rahel śród płomieni, wychyliwszy się z okna, wskazywała z radością na pożar, już pomieszkanie pani Lalorie sięgający: »Hej wesoło! Przyszła godzina nagrody! spali się!« wrzeszczała śmiejąc się wściekle i bijąc w ręce: »Spali się! Mingo pomszczony! ja pomszczona i wszyscy czarni pomszczeni!« poczém wysilona w znak padła. Tymczasem do okna przystawiono drabinę, jeden odważny młodzieniec wdarł się do góry, chciał ją ocalić, lecz nie mógł jéj w żaden sposób podźwignąć. »Jest oczarowana!« zawołał. — »Nie oczarowana! ale od sześciu miesięcy nędzna niewolnica w kuchni przykuta!« odezwała się z jękiem Rahel; »umiała dla białéj pani smaczne potrawy warzyć; ale Rahel myślała tylko o swoim synu Mingo, Rahelto, aby umrzéć, podłożyła ten ogień!«

W téj chwili ogarnął płomień okna, a śmiały młodzieniec był zmuszonym zejść na dół; widzieliśmy jak się niewolnica na chwilę jeszcze raz z jękiem w górę do okna dźwignęła, jak się śród płomieni w najsroższych męczarniach przez chwilę wiła, a potém upadłszy, na zawsze zniknęła. Wszystkich obecnych okropny strach owionął; lud zaczął się burzyć i miotać przeklęstwa; w tymże samym czasie przywieziono sikawki. Pożar, któremu w żaden sposób tamy położyć nie było można, zagrażał już przyległym budynkom. Już wiatr zaniósł był płomień na dach osobno stojącego i starannie zamkniętego pawilonu. Tłum ludu skoro to spostrzegł, rzucił się w tę stronę dla ratunku, a w téjże saméj chwili pani Lalorie pokazała się w oknie swojego pomieszkania. Była bladą, a ręka, którą się o krawędź okna opiérała, drzała widocznie. Na jéj widok powstał szmer między ludem, lecz wkrótce ucichł. »Kluczy! kluczy!« ze wszystkich stron zawołano.

»Niech się pawilon spali, nie ratujcie dobrzy ludzie!« odezwała się drzącym głosem piękna kobiéta, lecz nie zważano na to.

»Kluczy! kluczy!« powtórzyły groźniéj liczne głosy. — »Nié mam ich!« odpowiedziała pani Lalorie z okna.

»Więc wyłamcie drzwi! wyłamcie!« I tak się stało; wysadzono drzwi, a lud śród wrzawy zaczął się tłumnie cisnąć do palącego się już pawilonu. Pani Lalorie oddaliła się od okna. Ponieważ przy samym stałem pawilonie, byłem więc jeden z piérwszych, który się do niego wcisnąłem. Gdybym nawet żył lat tysiące, nigdybym nie zapomniał tego widoku, jaki się w onéj chwili moim oczom pojawił!

W ciemnéj, nizkiéj komórce, było w około dziewięć ustawionych słupów; u piérwszych dwóch wisiały do szkieletów podobne trupy, u drugich zaś siedmiu tyleż niewolników, jeszcze przy życiu będących. Jedni z nich mieli ręce nad głową związane, inni tak byli łańcuchami skrępowani, że się wyprostować nie mogli, większa część zaś miała żelazne obręcze około szyi, do słupa przykute. Już prawie do ludzi podobnymi nie byli, albowiem ciała ich od chłosty pokaleczone, jedną tylko raną się być zdawały; pod nimi była ziemia krwią spluskana.

Gdy piérwszy przestrach ominął, zdjęto okowy z żyjących jeszcze niewolników, z których dwóch, gdy ich na świéże powietrze

wyniesiono, zaraz umarło. Drudzy, nieco mocniejsi, z trudnością tylko na zapytania nasze odpowiedzieć mogli. Dowiedzieliśmy się, że ci dziewięciu niewolników, z których tylko pięciu przy życiu jeszcze pozostało, byli ci sami, których pani Lalorie skonfiskowano i na skarb publiczny przed sześciu miesięcy sprzedano.

Ta łagodna pani, zeznaniem niewolników swoich, podczas śledztwa rozjątrzona, postanowiła srogą zemstę. Kazała ich zatém tajemnie zakupić, poczém uwięziwszy trzymała ich przez sześć miesięcy w owym pawilonie, zadając im różnemi sposobami najokropniejsze męczarnie. Każdego poranku odwidzała ich owa tkliwa, wypieszczona kobiéta, aby własną rączką zemstę swoję nasycić, i cierpienia tych nieszczęśliwych ofiar rozlicznémi chłosty odnawiać. Z szatańskiém okrucieństwem poiło się jéj piękne oko katuszami zwolna umierających ludzi! Czego głód i chłosty nie wydołały, tego dokonało zjadliwe robactwo, które się w ich ranach wylęgło. Śmierć tylko uwalniała tych nędzarzy od najsroższych męczarni.

Opowiadania niewolników słuchał lud z początku spokojnie; lecz oburzenie, na chwilę ciekawością poskromione, wzięło na koniec górę. Lotem łyskawicy rozbiegła się wieść o tém okrucieństwie, a ze wszystkich dzielnic miasta biezeli Negry, na których twarzach żądzę zemsty widać było. Biali przestraszeni skutkiem takiego rozjątrzenia, nie omieszkali także oburzenia swojego na głos oznajmiać. Już głośniéj i żywiéj zaczęto miotać groźby, a że opinija publiczna w Ameryce bardzo prędko od słów do czynu przechodzić zwykła, nie było to dla pani Lalorie tajną rzeczą, tém bardziéj, iż wysoki stopień oburzenia ludu, nie uszedł jéj baczności. Przed pomieszkaniem jéj z każdą chwilą pomnażał się tłum coraz większy, tak dalece, że aż ku rzéce Marais nie widziałeś jak tylko same głowy, na kształt morskich fal unoszące się. Już się zaczęły tu i ówdzie głosy zemsty odzywać, już najodważniejsi zaczęli do pomieszkania pani Lalorie drogę sobie torować, gdy oto jednym razem otwiera się brama, a z niéj ekwipaż pani Lalorie wyjeżdża. Otyły woźnica w sutéj liberyi powozi z kozła, a młoda Kreolka w najpyszniejszym stroju, z wdzięcznym uśmiéchem i z zupełną spokojnością, siedzi w powozie, i niby od niechcenia wciąga w siebie woń z bukietu heliotropów. Na ten widok zamilkły głosy, zgiełk ustał i wszyscy na chwilę przerażonymi zostali. Czarny woźnica, korzystając z tego zadziwienia, zaciął konie, lud się na obie strony rozstąpił, a powóz bez najmniejszéj przeszkody ujechał. Chciano wprawdzie powóz zatrzymać, lecz tenże był już blizko wązkiéj grobli, która od jeziora Pontchartrain prowadzi, gdzie bagna po obu stronach nieprzezwyciężoną przeszkodę stawią, a przeto za powozem gonić lub mu z innéj strony drogę zabiédz, niepodobieństwem było; zwłaszcza, że konie na wyścig pędziły. Jednakże gdy niektórzy z rozjątrzonych za pojazdem w pogoń się puściwszy do jeziora zdążyli; już ujrzeli na widnokręgu niknącą barkę, która panią Lalorie od zguby wybawiła. Tylko ekwipaż jéj pozostał jeszcze na brzegu, który stał się pastwą zemsty powszechnéj. Połamano go w drobne kawałki, a konie sztyletami zakłuto. Gdy się w Nowym-Orleanie dowiedziano, że ta okrutna kobiéta życie swoje zdrowo uniosła, rzucił się lud na jéj pomieszkanie i w kilku minutach tylko zwaliska z niego pozostały.« —

Z wzrastającą uwagą słuchano opowiadania doktora, a gdy je zakończył, ze wszystkich stron zawołano: »I cóż się z tą okrutną kobiétą stało?«

»Wczoraj tego jeszcze nie wiedziałem,« odpowiedział doktor.

»A dzisiaj?« zapytali wszyscy jednym głosem.

»Dzisiaj — widziałem ją!«

»Jakto? co wcpan mówisz? Dziś ją widziałeś?«

»Tak jest w istocie! ona jest tu!«

»Tu!?« ze wszystkich ust dał się naraz słyszeć wykrzyk zadziwienia, i wszyscy się z krzeseł zerwali. Podczas opowiadania Amerykanina już była noc zaszła i w salonie ciemno się zrobiło, przeto zdało się, że wszystkich postrach ogarnął. W tejże chwili wniósł lokaj światło. Obecni patrzyli na siebie z trwożliwą ciekawością. »Mości panie,« przemówił nareszcie Varin zmieszany, poskoczywszy do Millera; »zmiłuj się, dokończ swojéj powieści.«

Miasto odpowiedzi wskazał mu doktor na miejsce próżne, gdzie pani Larcy siedziała. W tejże saméj chwili dał się słyszeć powóz odjeżdzający; wszyscy obecni pobiegli skwapliwie do okna. Kocz otwarty, który otyły Neger powoził, potoczył się piorunem, a pani Larcy, oparłszy się w nim z dumą i spokojnie, trzymała w ręku bukiet z heliotropów!

DO ***

Więc mię odpychasz—? żegnam cię, bądź zdrowa!
Kość losu padła, rzucona twą dłonią;
Niech boski pokój dni twoje zachowa,
A od mych bolów niech cię bogi chronią!

Tyś sama chciała, abym się uchylił,
Odchodzę, grubą pokryty żałobą;
Świat zdrożny byłby naprożno się silił
Położyć przepaść między mną a tobą.

Lecz u stóp twoich w prośbach się nie ćwiczę,
Płaczków nie stroję, zaklęcia nie ruszę;
Odchodzącemu nie patrz się w oblicze,
Nie chcę, by twoję przestraszało duszę.

Ty łez nie wstrzymasz, zapłaczesz nademną,
Dobraś jak anioł, czuła na cierpienia;
Lecz czuciom mém nie będąc wzajemną,
Litością swoją nie mnoż udręczenia!

Głębokim żalom ty nie zdołasz sprostać
Złudzeniem męczyć przestań mię na Boga!
Ja chcę z mym smutkiem bez podziału zostać
I w nim pamiętać, żeś mi był droga!

Pamiątki twojéj nie skaże łza żadna,
Na ciebie płakać, narzekać nie będę;
Lecz cię zapewniam, że mi przyjaźń zdradna
Nie utkwi kwiatu w mego życia grzędę.

Bądź zdrów aniele raz jeszcze ostatni!
Nie święć pamiątki zgniecionemu płazu;
Dla krótkich chwilek ja pomnik wydatny,
Ty o nich wspomnieć niechciej ani razu!

ZE LWOWA.

Nakładem Jana Millikowskiego, drukiem J. P. Sollingera w Wiédniu wyszły: *Fraszki Franciszka Kowalskiego* (r. 1839, str. 128). Sąto drobne najwięcej z okoliczności, od r. 1824 do 1828, pisane poezyje.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego Ad. Kasperowskiego wyszedł Nr. 12. i obejmuje: 1) Co jest przemysł gospodarski? 2) Postępowanie z drzewem po spuszczeniu. 3) Sposób poprawny w przepędzeniu wódki lub innych płynów wyskok zawiérających. 4) Żeby roboty gorzelniane nie kwaśniały. 5) Najtańsze ogrodzenie. 6) Rozmaite wiadomości.

Fryderyk hrabia Skarbek wydał w Warszawie nowe dzieło: *Małe przyjemności pożycia* (str. 194). Trafnie oddane są w téj książce wypadki potocznego życia, wskazujące, jak w drobnych zdarzeniach i w całém dobrze uporządkowaném życiu doświadczać można zupełnego zadowolenia. Nie jeden z czytelników znajdzie tu miłe przypomnienie przyjemności, któréj sam nie raz doznał. Styl gładki, myśl żywémi urozmaicona obrazami, znamionuje znany talent autora »Przypadków Dodosińskiego,« »Pana Starosty« i t. p. *A.*

Juliusz Słowacki napisał nowe dzieło poezyjne: *Anhelli.*

Tom pierwszy *Dzieł dramatycznych* jenialnego Józefa Korzeniowskiego wyszedł już z druku. Później o nim doniesiemy.

Profesor uniwersytetu krakowskiego Augustyn Boduszyńskiego wydał u Brokhausa w Lipsku: *Physikalisch-astronomischer Versuch über die Welten-Ordnung.*

Biegły fizyk pan Korylski wynalazł machinę do mierzenia siły wiatru, czyli nowy *anemometer*, i opis oraz rysunek onegoż przesłał akademii umiejętności w Paryżu.

Wizerunek znakomitéj artystki dramatycznéj warszawskiéj pani Halpert (z domu Żuczkowskiéj) umieszczony jest w jednym z tegorocznych numerów pisma niemieckiego: *Europa's Salon.*

P. Glinka, który napisał ulubioną operę rossyjską: *Życie za Cara*, powrócił do Petersburga z Małéj-Rusi, dokąd jeździł dla nabycia spiéwaków do kaplicy nadwornéj. Pod pięknem niebem mało-ruskiém uzbiérał skarb melodyj, z któremi w nowe życie wystąpi w świeżo-napisanéj operze: *Rustan i Ludmiła.* W wielkim zbiorze płodów muzycznych, który tenże p. Glinka ma zamiar wkrótce także ogłosić, mają między innemi być umieszczone utwory naszego Karola Lipińskiego. *A.*

Rasyn po hebrejsku. Pan Letteris, rodem z Żółkwi, znany literat niemiecki, przełożył na język hebrejski *Atalije*, trajedyje Rasyna. Dzieło to wyszło drukiem u A. Schmidta w Wiédniu i już się drugiego doczekało wydania. Tłumacz zajmuje się teraz wydaniem *Estery*, drugiéj trajedyi Rasyna; zamyśla także wydać jeden tom oryginalnych poezyj niemieckich.

Przodkowie królowéj Wiktoryi. Wiadomo iż kronikarze anglo-saxońscy z troskliwością opisali rodowód pierwszych władzców siedmiu królestw nazwanych: Kent, Essex, Sussex, Wessex, Ostangeln, Northumberland i Mercia, które dopiero z początkiem 9go wieku w królestwo angielskie się zjednoczyły, a wszyscy wywodzą początek tych małych królów aż od Wodana czyli Odina, owego w rzędzie bogów umieszczonego wielkiego reformatora Północy. Pomiędzy siedmiu decendentami Wodana następujący szereg królów Wessexu jest wielce ważnym: Woden, Beldeg, Fredegar, Frewin, Wigga, Gewish, Esla, Elesa, Cerdik: ten ostatni w roku 494 po Nar. Chryst. został pierwszym królem Wessexu. Po nim szli w nieprzerwanéj linii męzkiéj Kreoda, Cynric, Keawlin, Kuthwine, Kutha, Ceowald, Koenred, Ingild, Erwa, Eofa, Ealmund, Ekbert; ten osatni był spadkobiercą wszystkich reszty małych królestw i w r. 898 został pierwszym królem angielskim. Po nim szli znowu Ethelwolf, Alfred Wielki, Edward I., Edmund I., Edgar, Ethelred, Edmund II., Edward Zbieg i Edgar Edeling, ostatni męzki potomek domu, którego Normanowie wygnali z kraju. Atoli siostra jego, S. Małgorzata, umknąwszy do Szkocyi 11go wieku, weszła w śluby małżeńskie z królem tegoż kraju, Malkolmem, znanym w trajedyi Szekspira, który Makbeta jako przywłaściciela tronu i zabójcę Dunkana, ojca jego, wyrugował. Od tego czasu starożytny ród królów szkockich, szedł już po kądzieli. Po Malkolmie szli: Dawid, Henryk, Dawid; córka tego drugiego Dawida, Izabella, zaślubiwszy się z Robertem Bruce, ciągnęła starożytny ród w drugiéj, żeńskiéj linii. Robert spłodził drugiego Roberta, a ten trzeciego, który w r. 1306 królem Szkocyi został, i którego córka Majoryja, wszedłszy w związki małżeńskie z Walterem Stuart, starożytny ród w trzeciéj linii żeńskiéj wiodła. Syn jego Robert r. 1370 został królem Szkocyi; po nim szli Robert III., Jakób I., Jakób II., Jakób III., Jakób IV. i Jakób V. Córką tegoż ostatniego była sławna Maryja Stuart, która zaślubiła Henryka Darnleya, zresztą pokrewnionego ze swoim domem, a zatém także Stuarta, i czwartą linię żeńską rozpoczęła. Z tego bowiem małżeństwa pochodził Jakób VI., który po śmierci Elżbiety Wielkiéj r. 1603 zostawszy także królem Anglii, późniéj się Jakóbem I. nazywał. Córka jego Elżbieta piąta linię żeńską rozpoczynająca poszła za mąż za falcgrabie Fryderyka, który będąc obrany królem czeskim, po sławnéj bitwie na Białéj-Górze, ztamtąd wygnanym został. Córka jéj, Zofija, zaślubiła najmłodszego księcia z hanowerskiego domu, Ernesta Augusta, pierwszego elektora Hannoweru. Ten ciągnął starożytny ród w szóstéj żeńskiéj linii. Syn jego Jerzy odziedziczył tron angielski, po nim nastąpili Jerzy II., Fryderyk, Jerzy III., książę Kentu, tudzież obecnie panująca królowa Wiktoryja, która jak się zdaje do rozpoczęcia siódméj żeńskiéj linii jest przeznaczona.

Mistress Jameson w dziele swojém: *Winter studies and Summer Rambles in Canada* (Nauki zimowe i przechadzki letnie w Kanadzie) robi następujące uwagi o miłości: »Jestto rzecz osobliwsza, a nawet zadziwiająca, iż nauczyciele i prawodawcy nasi nie biorą pod ściślejszą rozwagę zawisłości, jaka pomiędzy płcią męzką a niewieścią zachodzi, to jest: namiętności kochania. Ci ludzie rozumują, dają nam wychowanie, uchwalają ustawy, a o téj namiętności nie nadmieniają ani słowa, jak gdyby coś podobnego wcale nie istniało na świecie. Ale zapytajmy w téj mierze kapłana lub lekarza, niech nam objawią cały bieg moralnych i fizycznych skutków, jakie z téj jedynéj przyczyny wynikają. Toż miłość zawsze tylko w rytmach opiewaną być powinna, jak gdyby była rzeczą, którą w trajedyjach odegrać, albo w piosnkach odspiewać można? jak gdyby była przedmiotem zdatném tylko do pięknych wierszyków i rozkosznych romansów,

jak gdyby nie miała żadnéj spółki z prozaicznym biegiem codziennego życia, z moralném szczęściem i wieczną szczęśliwością naszą? Toż miłość zawsze bez powagi, tylko jako istotna złuda, albo z poniżeniem, jako prosty popęd natury, albo z obawą, jako choroba serca, albo ze wstydem, jako słabość wewnętrzna, albo z płochością, jako nieprzewidziany przypadek, w pismach występować powinna, podczas gdy ona jest wielką tajemnicą, wielką koniecznością, stanowiącą do ludzkiego bytu, do moralności i szczęśliwego pożycia, tajemną, powszechną i podobnie jak śmierć, nieuchronną posadę? Dla czegożto o miłości z mniejszém zastanowieniem niż o śmierci rozumują uczeni? Wszakże miłość równie ważnym jak śmierć przedmiotem. Miłość i śmierć są początkiem i końcem życia człowieka, przyczyną i końcem wszelkiego bytu; w około obudwu tych przedmiotów toczy się świat boży, i obadwa w miarę, jak są nieodzowną koniecznością człowieka, twórca i ojciec wszystkich stworzeń wyjął z pod praw naszéj dowolności, naszéj woli i naszego wyboru. Śmierć i miłość są nam już od początku stworzenia świata przekazane; ale chodzi o stan w jakim nas zastają? czy w zaślepienia, pomieszania, przestraszenia, niewiadomości, albo w stanie, który rozumnym istotom jest właściwy, to jest: w przezornym, ochronnym, przygotowanym i do panowania własnym uczuciom zdolnym? Takowy stan sądzę, że od nas samych zależy. Przypatrzcie się nieszczęściom powstającym z niemożności panowania nad sobą samym! Pospieszne, nieprzezorne, niestosowne zamęźcie, uporne, chorowite lub występne bezżeństwo, niezmazana hańba, nieuleczone szaleństwo, zawczesna śmierć, na wszelki wypadek zwichnięty zawód życia, styrane siły, niewysłowione głupstwo bytu!«

Polowanie na dziki w c. k. zwierzyńcu koło Lainz dnia 7. marca r. b: Wielu z naszych ziomków wie przynajmniéj ze słyszenia, że koło Lainz jest rozległy c. k. zwierzyniec, ale niewielom podobno wiadomo, że tam prócz innéj zwierzyny, około 2000 czarnego zwierza się znajduje. Jestto kapitał, który przez nadzwyczajne mnożenie się tego gatunku zwierza, rocznie 1000 sztuk procentu daje, za który przez corocznie odbyte polowanie wpływa pieniądz do kasy, przezco kapitał się nie zmniejsza. W regularnych tych polowaniach, w których tylko najwyższy dwór i dostojni goście najczęściéj mają udział, jest zwyczajem, iż każdy strzelec użyty w tym dniu do polowania, znaczną część zdobyczy w nagrodę utrzymuje. Stanowiska strzelców, w obszérnéj, kolistéj, parkanem opasanéj przestrzeni, są w ten sposób z desek i belek wzniesione, że na takowe po kilku wschodach do góry wejść, a przeto na półtora stopy nad ziemię wznieść się można. Przezto zapobiega się wszelkiemu niebezpieczeństwu, jakieby ze strony zwierza wyniknąć mogło. Na każdém stanowisku zmieścić się można od 5 do 6 osób. Dziki przeznaczone do zabicia, znajdują się w osobném ogrodzeniu, i wypuszczają się pojedyńczo, albo po kilka razem. Szczegóły te niech służą za objaśnienie opisu największych łowów na dziki, jakie się od wielu lat powiększéj części na cześć dostojnych gości odbywały. — Najpiękniejszy dzień sprzyjał téj rzadkiéj rozrywce, na którą się jeszcze więcéj ciekawych niż strzelców zgromadziło. O godzinie 10téj wyruszył cały orszak łowczy z c. k. zamku w Wiedniu. Kilka sześciokonnych powozów, a w tych dostojny gość dworu, Jego Ces. Mość Wielki Książę Następca tronu rossyjskiego, Jego Książęca Mość Następca tronu wajmarskiego, Jego CC. MM. Arcyksiążęta Karol, Jan, którego strzelecka sława w górzystych krajach monarchii austryjackiéj powszechnie znana, Jego C. M. Arcyksiążę Szczepan, Jego K. M. Książę Waza, tudzież w własnych powozach hrabia Hardegg, jeden z najlepszych strzelców w Państwie Cesarskiém, syn byłego najwyższego łowczego koronnego, następnie wielu innych tak krajowych, jakotéż obcych kawalerów, stanowiło orszak strzelecki, który szybkością wiatru daleką przestrzeń pomiędzy rezydencyją a Auhof, przeleciawszy jako senne widziadło, po przed oczy mieszkańców Baumgarten i Hüteldorfu przesunął. Zaraz za przybyciem najdostojniejszych gości, którzy przez uczniów c. k. akademii leśnictwa i przez urzędników téjże akademii w galowym mundurze przyjęci byli, otworzono bramy zwierzyńca i z największym pośpiechem zaczęto wyznaczać stanowiska. Wszyscy strzelcy bez wszelkiego znaku wysokiéj swéj godności, ubrani byli tylko jak prości łowcy, których śród mnóstwa innych osób z trudnością rozeznać było można. Wesołość ożywiała każde oblicze, a żądza łowów, i dziéż doskonałe rozporządzenia najwyższego łowczego, hrabi Hoyos, którego już sama osoba wzór prawdziwego leśniczego przestawia, sprawiły tak szybkie porozumienie się, iż w przeciągu kilku minut wszyscy strzelcy byli już na swoich stanowiskach i z nabitą bronią zwierza oczekiwali. Mała garstka widzów, uzbrojona poczęści maczugami, zgromadziła się w pobliżu piérwszego stanowiska, które jako zaszczytne miejsce dla młodego Wielkiego Księcia wyznaczono. Byłoto szczególniejsze widowisko, patrząc jak na tém polowaniu wielu modnych kawalerów w białych rękawiczkach z maczugami w ręku, z resztą bez żadnéj obrony, z odważną miną czekało wypuszczenia 303 dzików. Dano znak, nagle ozwały się rogi ustawionéj w środku bandy muzycznéj, a czterech do pięciu odyńców wypuszczonych, wypadło w otwarty las na széroką przestrzeń, nad którą strzał Wielkiego Księcia panował.*) Natychmiast zaczął padać strzał po strzale ze wszystkich stanowisk, i wkrótce usłyszano ryk śmiertelnie ugodzonego zwierza. Na ten sposób wypuszczono koleją 303 sztuk odyńców, które częścią kulami, częścią przez leśniczych ostremi spisami ubito. Odwaga, jaką okazali ci ostatni, wbijając potężną dzidę w postrzelonego, rozjuszonego i kłami grożącego odyńca, odbijała w osobliwszym sposobie z świetnym mundurem i prawie wytworném ubraniem tych strzelców, którzy powinność swą z taką biegłością wykonywali, iż się zdało, że nie było żadnego niebezpieczeństwa. W przeciągu dwóch godzin ubito 303 sztuk odyńców. Wielki Książę, widocznie rozweselony, miał nadzwyczajne szczęście w tém polowaniu. Mistrzowskie strzały wywoływały głośne *brawa* podziwienia między widzami, które przy końcu łowów jeszcze bardziéj się wzmogły, gdy na Wielkiego Księcia ostatnich dzików nagnano, a on je trzema strzałami ubił. Czterdzieści i dwa dzików leżało zabitych na jego stanowisku, gdy się łowy skończyły. Po téj rozrywce ważono w zwiérzyńcu zabitych dzików i rozdawano. Poczém dostojne towarzystwo strzelców w najweselszym humorze do rezydencyjonalnego miasta wróciło. C. k. nadleśniczy w Auhof wezwał potém wszystkich leśniczych do wielkiego stołu.

*) Z tego miejsca było 16 stanowisk w okręgu, w równych odległościach od siebie, i zajęte przez osoby następujące: Na stanowisku 1. był hrabia Hardegg, na 2. 3. i 4. kawalerowie ze świty W. Księcia (baronowie Lieven i t. d.), na 5. książę Koburg, na 6. Arcyksiążę Karol Ferdynand, na 7. Arcyksiążę Albrecht, na 8. W. Książę Następca tronu wejmarskiego, na 9. Arcyksiążę Franciszek, na 10. W. Książę Następca tronu rossyjskiego, na 11. Arcyksiążę Jan, na 12. Arcyksiążę Szczepan, na 13. Arcyksiążę Karol, na 14. Królewicz Waza, na 15. obadwaj książęta Nassauscy, na 16. hrabiowie Salis i Hoyos.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*